

POSZUKIWANIE

Czy w ogóle wiem jak on wygląda? Czy poszukując kogoś należy wiedzieć jak ten ktoś wygląda? Może ma oczy jak kule bilardowe, czerwoną jak pomidor twarz, z której wybałuszają się oczy jak kule bilardowe, dwie kule bilardowe, trzecia kula znajduje się w ustach, wypycha policzki, wtlacza do gardła język, unieruchamia szczęki. Bilardzista, nazywam go bilardzistą – jest niemy, biega ścieżkami marzeń, huśta się i kołysze na puszystych gałęziach snu, na kijku bilardowym jak na tyczce przeskakuje niedostępne mury niemożliwości i absurdu. Szukam swego bilardzisty, którego wizerunek łomocze we wnętrzu mej głowy jak małpa w bambusowej klatce. Teraz jest noc, reklamy, szyldy, światła tysięcznych samochodów, wszystko to podwojone przez lśniąca od deszczu ulicę. Teraz jest noc i jak każdej nocy zaczynam go szukać po szynkach i lokalach, po małych, zaplutyh portierniach trzeciorzędnych hotelików. Czy mieszka tutaj bilardzista? Jaki bilardzista? Czy mieszka tutaj bilardzista, chciałem się widzieć z bilardzistą. Nazwisko, nazwisko tego bilardzisty, skąd mogę wiedzieć o jakiego bilardzistę chodzi. Już gromadzą się gapie, najpierw jeden, chce dopomóc, mówi że zna bilardzistę, dureń on nie może znać mojego bilardzisty, potem drugi, drugi się przysłuchuje, już jest ich kilku, teraz portier będzie kreślił koła na czole, zaraz portier będzie kreślił koła na czole, ich odruchy są uwarunkowane jak u psa Pawłowa, zaraz będą kreślić koła, nie mogą, ani przez chwilę nie mogą zrozumieć, że istnieć może coś, o czym oni nie wiedzą, czego nie są w stanie objąć swymi wyhodowanymi na bełkocie umysłami. Proszę klucz na piętnastkę, klucz na piętnastkę już się robi, blankiet meldunkowy, nie mamy wolnych pokoi, proszę się posunąć, czego ten facet chce, on nie ma wszystkich w domu, powiada, że szuka bilardzisty, jakiego bilardzisty, on powiada, że szuka tylko bilardzisty, facet ma fioła, facet ma fioła. Teraz ręka będzie kreślić kółka na czole, nie, nie kreśli kółek, zbliża się do skroni jak gdyby chciała zasalutować, ale

zamiast tego wykonuje kilka kołyszących ruchów. Teraz się śmieją. Podobnie jak psy Pawłowa wydzielają ślinę na dźwięk dzwonka, tak oni się śmieją na widok gestów ręki. Odruch warunkowy. Stereotyp dynamiczny. Czy oni sądzą, że ja tego nie widzę, że nie kulę się z przerażenia, nie skręcam się z nadmiaru obezwładniającej mnie nieśmiałości gdy pytam o bilardzistę. Przecież ja z góry wiem jaka będzie reakcja, niejednokrotnie zwlekam z pytaniem, kluczę, udaję że przeglądam czasopisma rozłożone w kiosku, wijąc się pod zmiennym ciśnieniem wewnętrznej ambiwalencji, miotany w jedną stronę koniecznością zadania pytania a szarpany w drugą stronę cugłami nieśmiałości. Z góry już wiem, że nie będą w stanie pojąć o co mi chodzi. Czy te tępe tłumoki w ogóle czują coś innego i wyobrażają sobie coś innego prócz tego, co znajduje się bezpośrednio w zasięgu ich wzroku i słuchu? Dotykają wszystkiego tym swoim rybim wzrokiem, tym swoim głąbiowatym słuchem, dotykają tylko powierzchownie, poprzez bibułkę lenistwa, poprzez mgłę ospałości, potem przesuwają całe przedmioty, organizmy, rzeczy i zdarzenia w takie miejsce, by nie rzucały ani nadmiaru światła, ani nadmiaru cienia, by nie przeszkadzały rozpychać się chamskim łokciem, by nie przeszkadzały pierdzieć tłustej dupie. Ten facet ma fioła, on szuka bilardzisty, jakiego bilardzisty, znałem jednego bilardzistę, obracam się w stronę mówiącego, chwytam go za guzik od płaszcza, gorączkowo wyrzucając słowa opryskuję mu twarz śliną, zawsze gdy szybko mówię cały się zapluję, widzę kropelki śliny które jak pociski artyleryjskie bombardują uchylającą się w skurczonych grymasach twarz rozmówcy: chciałem mówić z bilardzistą, czy zna pan bilardzistę, może mieszka tu bilardzista, twarz marszczy się, wygina, unika gejzerów, eksplozji śliny, już nie ma na tej twarzy nic z wyjątkiem chęci uniknięcia, uniknięcia za wszelką cenę, on nic nie słyszy, unika też moich słów, jak mogłem sądzić, że on coś będzie słyszał, że coś będzie wiedział, puszczam guzik, odwracam się do wyjścia. Ten facet ma fioła i ruch ręką, kółko na czole, ten facet ma fioła, kółko, fioła, kółko, kółko, pyta o

bilardzistę, kółko, fioła, bilardzistę, fioła, bilar... zamykam drzwi za sobą: gdzie jesteś mój bilardzisto? Może jak czarownica na miotle pędzisz nad dachami na wysmarowanym kredą bilardowym kiju, może jak cyrkowiec żonglujesz kolorowymi kulami, może jak prestidigitator wyciągasz je z ucha, z oka, z kieszeni rozmówcy, zapalasz kule na niebie, przyczepiasz je w locie do neonów i reklam, podkładasz je pod drżące nogi zidiociałym staruszkom, zabawiasz chore koty na peryferiach miasta? Restauracje uszeregowane wzdłuż rozdygotanych światłem ulic, małe plugawe hoteliki na rogach brudnych zaułków, czekają na moją inspekcję, tysiące taksówek, dworce kolejowe, szalety miejskie, setki lat nie wystarczą by go odnaleźć. Trudność zwiększa jeszcze to, iż nie wiem jak wygląda, może to ten szofer, który oczekując na czerwone światło zapala teraz w wozie papierosa i błysk żaru wyodrębnia jego twarz z ogólnego chaosu, może to ten praktykant, który poprawia perukę na wystawie gabinetu fryzjerskiego, może się przebrał za babkę klozetową, może za sprzedawcę gazet, może ukrył się w kombinezonie monterka, na szczycie wygaszonego neonu. Wchodzę do restauracji, drzwi otwierają się do wewnątrz, to jest lepsza restauracja, bo drzwi otwierają się do wewnątrz, stoły są na pewno pokryte obrusami i trzeba zdjąć z głowy kapelusz, gdy usiądę przy stole. Jest noc, jest teraz noc i jest już dość późno na to, by obrusy na stołach były brudne, poplamione, pokryte ziarnkami zeschniętego pieczywa i cukru, posypane popiołem papierosów. To jest wprawdzie lepsza restauracja, ale tylko lepsza restauracja. Nie jest to restauracja, w której blaty stołów są z lastrika, pokrytego zamiast obrusa kałużami rozlanego piwa z pływającymi w nich okrętami niedopałków, nie jest to jednak również restauracja, w której każdorazowo zmienia się obrusy po odejściu klientów. Pomarańczowe światło tworzy rozleniwiającą atmosferę wypoczynku i ciepła. Jeszcze nie pytałem o bilardzistę. Bilard jest może w drugim pokoju, to jest lepsza restauracja, powinien być w niej bilard, lecz teraz jeszcze nie czas pytać o bilardzistę. W tej

chwili jestem jeszcze uważany za jednego z Nich. Może nawet wyglądam na jednego z Nich. Siedzą i żrą. Żrą i napychają się. Obsłinione wargi, wytrzeszczone oczy, pokryte potem genitalia, zimne tyłki i śmierdzące nogi. Bełkocą. Jest proszę mi wierzyć doskonale zabezpieczona, moja ciotka na wsi, no to lu, nasze kawalerskie, mówię panu jaka fantastyczna dupa, niech mnie na miejscu szlag trafi jeśli jutro, żebym z tego miejsca nie wstał jeżeli dziś, za tych kto w morie, japończyk dwa razy, pół litra eksportowej, dwa białe kopnięte, trzy bułeczki, mówię ci że nikt ci tak dobrze nie życzy jak ja, mówię ci, fasolka po bretońsku, rosół z drobiu, pieczywo było, tak jedna bułka, bułka raz, pani szanowna życzy. Myślę sobie: bilardzista jest w sąsiednim pokoju. W sąsiednim pokoju znajduje się na pewno stół bilardowy, niesłychanie wielki stół bilardowy pokryty zielonym sukniem, jak biurko sołtysa. Póki jestem tu gdzie jestem, bilardzista może grać i gra niesłychanie wolnymi i przemyślanymi do ostatnich, ostatecznych konsekwencji ruchami, obchodzi jak kot stół dookoła, przymyka oko, smaruje koniec kija kredą. Póki jestem tu gdzie jestem, bilardzista jest w drugim pokoju. Mogę o niego spytać kelnera lub barmana, lecz nie jestem pewien czy wiedzą cokolwiek o istnieniu bilardzisty, czy wiedzą cokolwiek o istnieniu w drugim pokoju stołu bilardowego pokrytego zielonym sukniem jak biurko sołtysa, nie ma sensu się okłamywać, oni na pewno nie wiedzą o istnieniu ani bilardzisty ani stołu bilardowego. Dopóki jeszcze siedzę tu gdzie siedzę, dopóki jeszcze nie zadałem pytania, nie spytałem o bilardzistę, dopóty jestem zwykłym klientem, człowiekiem który zamówił śledzia po japońsku, jasne piwo i dwie bułki, anonimem zatopionym jak mucha w bursztynie w oparach piwa, dymu tytoniowego i wilgotnego przeciągu od drzwi. Wystarczy abym zadał pytanie, a twarz moja pokryła się nerwowym potem, wystarczy bym spytał o bilardzistę – na samą myśl o tym czuję jak zaciskają mi się kolana, jak całe moje ciało staje się terenem dzikiej galopady rozkosznych dreszczy – wystarczy abym

zwrócił się do kelnera lub barmana i spytał o stół bilardowy i bilardzistę, natychmiast przestałbym być jednym z Nich. Powoli jedna po drugiej obróciły by się w moją stronę wszystkie twarze, umilkł by zdezorganizowany gwar uła ustąpiwszy miejsca zorganizowanemu hałasowi wiecu, otworzyłyby się oślinione wargi, zaśniły by dziesiątki okularów i ubabrane jedzeniem zęby, spojrzenia nabrałyby ostrości, ręce poczęły kręcić kółka, usta zaczęły wypluwać słowa; ten gość ma chysia, chysia, fioła, on chce bilardzistę, fioła, chysia, fioła, chysia. Jestem sam cała sala jak jeden człowiek podwojony w oczach pijaka, pomnożony w lustrach lunaparku, bełkoce gorączkowo, gęga jak stado gęsi wierci się i tapla jak stado wieprzów w które wstąpił diabeł: Wariat, jakiego znów bilardzisty, facet chce bilardzisty, fasolka po bretońsku, dwa jasne, bilardzisty, chysia, ragout baranie, szpinak, naleśniki z konfiturą, fioła chysia, bilardzisty. Widzę jak bilardzista w drugim nieistniejącym może pokoju kuli się, zmniejsza, wdrapuje jak mysz po opartym o stół kiju, biega gorączkowo po zielonym trawniku sołtysowego stołu, potrąca kule, szuka ukrycia, wpełza do jakiegoś otworu, chowa się w otworze wciska między sęki maleńki, zaczerwieniony, dyszący przerażeniem. Nie mogę demaskować bilardzisty, nie mogę mówić o stole w sąsiednim pokoju, niech wierzą, że nie ma sąsiedniego pokoju, niech wierzą, że nie ma stołu i bilardzisty, niech sądzą, że za drzwiami znajduje się kuchnia, kantorek, składzik naczyń może pokój kelnerów, nie mogę zdemaskować mego bilardzisty, który już uspokojony rośnie w drugim pokoju jak nadymany balonik, sfruwa ze stołu, smaruje kij kredą, chucha na palce, krąży jak kot. A teraz jest już wielki, jak nadęta dobrotliwa kwoka zajmująca całą powierzchnię pokoju, wysiadująca na sołtysowej grzędzie zielonego stołu złotodajne jaja kul bilardowych. Ocaliłem jego egzystencje, jego efemeryczny i subiektywny byt, uwarunkowany niezakłócaniem suwerenności autystycznego świata w którym się porusza. Może teraz spokojnie rozgrywać i wygrywać skomplikowane partie, sam ze sobą,

naturalnie że tylko sam ze sobą. Mój bilardzista nie gra z nikim i mimo, że nie mam najmniejszego wyobrażenia o bilardzie, wiem że jest nieprześcignionym mistrzem w swojej specjalności, mistrzem w tak bezsporny i tak bezgraniczny sposób przerastającym innych mistrzów, że może grać jedynie sam ze sobą, być sam swoim jedynym sędzią. Czy uświadamiając to sobie mogę dopuścić sytuację w której bilardzista wygrywa sam ze sobą? Oznaczało by to że z jednej strony wygrywając, z drugiej strony musi partię całkowicie przegrać, oznaczało by to doskonałość przy równoczesnym jej braku, umiejętność i możliwość zwycięstwa, przy równoczesnej niezdolności do pokonania siebie samego jako przeciwnika. Czy w takiej sytuacji można by założyć, że wynikiem jest stały remis, wiecznie, permanentnie nierozegrana partia, siłą rzeczy sprawiająca wrażenie jakiejś tymczasowości, jakiegoś nienasycenia, niedopełnienia, braku zadośćuczynienia? Trudno mi to zdecydować, świat bilardzisty, wiedza bilardzisty jest tak niesłychanie odległa, tak niesłychanie inna, że wygląda jak przedmiot oglądany jednocześnie przez powiększającą i pomniejszającą soczewkę bez sumowania tych dwóch soczewek razem. Jeżeli mógłbym powiedzieć, że bilardzista cały bez reszty mieści się wewnątrz mojej głowy, że jest przeze mnie myślany, że zamknięty jest w moim wyobrażeniu jak małpa w bambusowej klatce, powiedziałbym w ten sposób zaledwie połowę prawdy. Drugą połowę, pozornie sprzeczną, stanowi twierdzenie, że sam jestem wyobrażeniem, które nosi w sobie mój bilardzista, że sam jak w klatce poruszam się po omacku roztańczonymi w mroku korytarzami jego myśli, wiruję łagodnie w magnetofonie jego wspomnień, zasypiam zmęczony na dnie ciemnych jezior, budzę się wypoczęty na zamglonych łąkach stołów bilardowych. Ani to jednak, że trzymam bilardzistę zamkniętego w mojej myśli, ani to, że sam jak w futerale, ukryty jestem w myślach bilardzisty, nie jest równoznaczne z jego posiadaniem. Ani z posiadaniem jego przeze mnie, ani z posiadaniem mnie przez niego. Dlatego też szukam

mego bilardzisty po obskurnych małych hotelikach, po zasnutych alkoholowym dymem knajpach, wzdłuż roztląmszonego wielką, brudną podeszwą nocy miasta, przez całe długie lata. Teraz wiem, że go pewnie znalazłem jest za ścianą w sąsiednim pokoju, gdzie znajduje się stół bilardowy, nie spytam o niego, nie spytam o niego aż do chwili w której będę opuszczał lokal, ponieważ domyślałem się, że gdy będę opuszczał lokal on opuści go wraz ze mną. Teraz nie chcę go zdemaskować, teraz nie chcę także zdemaskować siebie, ci którzy żrą się przy sąsiednich stolikach myślą, że jestem jednym z nich, na pewno tak myślą. Gdyby zaczęli się czegoś domyślać, natychmiast uczułbym wrogą koalicję, obmacujące mnie spojrzenia, wypychające za drzwi olśnione szepty. A gdybym przywołał kelnera i spytał go cicho, bardzo cicho, tak aby nikt nie słyszał o bilardzistę? Nie to niemożliwe, kelner uniesie wysoko brwi, kelnerzy gdy chcą pokazać, że się zastanawiają unoszą wysoko brwi, bardzo wysoko brwi, zupełnie przeciwnie niż sądowi symulanci. Bilardzista proszę pana, słucham proszę pana, pan szanowny każe podać, ja chciałem bilardzistę, niestety nie mamy bilardzisty, może być bigos po rosyjsku, ja chciałem widzieć bilardzistę, pan szanowny życzył i znak zapytania, wymowny znak zapytania podniesionymi brwiami, pan szanowny życzył, tak, teraz czuję, że pod tym wymownym spojrzeniem dyplomaty z trzeciorzędowego filmu zaczynam się rozpląszczać jak szczeniak przed strachem na wróble, już nie panuję nad sobą, strzykając śliną gorączkowo powtarzam, chciałem widzieć bilardzistę, chciałem się dowiedzieć czy jest u was bilardzista, mój bilardzista, wie pan szukam bilardzisty, podskakuję, wiję się jak befsztyk na patelni, czuję jak kropelki moczu ściekają mi po nogach, chwytam kelnera za guziki kitla: bilardzista jest tam w sąsiednim pokoju, bilardzisty, ja chciałem do bilardzisty, wariat, zapaliło mu się w dupie, czego on chce, panie starszy płacić, facet ma fioła, fioła, czego on chce, zmiataj chuju, zmiataj chuju, żebyś cię tu więcej nie widział. Jestem znowu na ulicy. Zdradziłem bilardzistę, gdzie teraz

znajdować się może mój bilardzista. Ukryty w tunelach metro, skaczący z dachu na dach, czepiający się rusztowań neonów, wirujący w objęciach wiatru. Czy może jest tym samotnym przechodniem po przeciwnej stronie ulicy, który postawiwszy wysoko kołnierz nieprzemakalnego płaszcza, chowając twarz w cieniu rzucanym przez rondo kapelusza, przemyka szybko, prześlizguje się chytrze pod murami kamienic? To pewnie on! Nie zważając na ruch uliczny, wśród ryku klaksonów, gwizdu opon i syku pneumatycznych hamulców, przebiegam na ukos jezdnię, słyszę przekleństwa kierowców, gwizdek milicjanta, to nic bilardzista jest już blisko, nie obejrzał się nawet, uchodzi przekonany, że wymknął się kontroli. Ruszam w pogoń. Teraz on skręca w boczną ulicę, mijamy kilka knajp, przechodzimy obok wejścia obskurnego hoteliku, nie wchodzę nigdzie, on jest teraz przede mną, w zasięgu dwudziestu kroków, jeśli tylko przyspieszę marsz w ciągu pół minuty zrównam się z nim, wyprzedzę go i zapytam. Jak go zapytam? Muszę go zapytać czy jest bilardzistą. Tak zapytam go czy jest bilardzistą. Co można odpowiedzieć na takie pytanie jeśli się nie jest bilardzistą? Może on jest bilardzistą, ale nie tym którego szukam? Może zaś w ogóle jest zwykłym przechodniem, lekarzem spieszącym do chorego pacjenta, członkiem tajnego stowarzyszenia udającym się na ważną konferencję. Podejdę teraz do niego i spytam czy pan jest bilardzistą, kim, bilardzistą, jakim znowu bilardzistą, czego pan chce, szukam bilardzisty, chwytam go za guzik i wleczony jego pędem potykając się ślizgając pryskam mu w twarz wraz ze śliną moje pytania. Czy pan jest bilardzistą, proszę powiedzieć czy pan jest bilardzistą, odczep się gryzie, ja chcę wiedzieć czy pan jest bilardzistą, otwieram się cały, sperma i kał wysypują się ze mnie, plamą bieliznę, ściekają, ześlizgują się po nogach, chciałem wiedzieć czy pan jest bilardzistą, skomlę, płaczę, smarkam łzami, długie, śliskie gluty zwieszają się z nosa, odpadam wraz z guzikiem od pędzącego przechodnia, jak z wagonu pociągu, toczę się

niezdarnie po chodniku, wołam, proszę pana ja szukam bilardzisty, proszę powiedzieć gdzie mógłbym znaleźć mego bilardzistę, lecz anonimowy mężczyzna znika już za rogiem najbliższej przecznicy. Zostaję zupełnie sam na pustej uliczce. To chyba nie był on! To nie mógł być on! Uwaga! Po drugiej stronie ulicy widzę teraz innego przechodnia, mały, niski, pędzi niesłychanie szybko w przeciwnym do poprzednika kierunku przeciskając ręką kapelusz do głowy. To on! To na pewno on! Podnoszę się z klęczek, robię dwa skoki, zawracam się, padam znowu, podnoszę i utykając na uszkodzoną w poprzednim upadku nogę, ruszam w ślad za zbiegiem. Jest dwadzieścia kroków przede mną, zmierza w kierunku centrum, nie mogę dopuścić by doszedł do centrum zanim zadam mu moje pytanie, jeśli dojedzie przedtem do centrum moja rola będzie niezwykle utrudniona, będą świadkowie, kółka kreślone na czole, palisada szeptów, klatka ze spojrzeń. Muszę dogonić go i zadać mu pytanie zanim dojdzie do centrum, zanim na zakręcie pojawia się pierwsze odblaski neonów, zanim na ulicach pojawią się reflektory samochodów. Przyspieszam kroku, aby zrównać się z uciekającym zbiegiem, ale czy to spowodowało zmęczenie, czy też noga, która boli mnie w kostce jest poważniej uszkodzona niż przypuszczałem, odległość między zbiegiem, a mną nie ulega zmianie. Już słysząc zbliżający się gwar miasta, już widąc na murach odblaski znajdujących się za zakrętem neonów. Muszę dopędzić go zanim osiągnie ten zakręt, choćbym miał stracić nogę, muszę dopędzić go przed tym zakrętem, potykam się, chwytam rękami murów, podciągam się na nich jak na rękę, pracują już więcej rękami niż nogami, odległość jednak nie maleje ani nie rośnie, wynosi stale dwadzieścia kroków, dwadzieścia marnych kroków. Czyżbym nie był zdolny do pokonania tej ostatniej przeszkody, wyteżam się do maksimum, wykonuję jakiś niesłychany skok, chwytam końcami paznokci za kraj rozwiewającego się płaszcza, zaciskam palce, zamykam oczy, jestem w tej chwili tylko jedną skoncentrowaną myślą, wyłącznie działaniem, które jest materializacją tej myśli,

zaciskam palce, drę ku sobie, już cię mam, już ci nie ujdiesz, ślina zmieszana z krwią i potem spływa mi z warg, otwieram oczy, nigdzie nie ma człowieka, który był bilardzistą, leżę na ziemi na samym skrzyżowaniu, schodzą się ludzie, ze wszystkich stron schodzą się ludzie, wariat, pędzi jak wariat, czego on chciał, może epileptyk, epileptyk, facet ma chysia, ma chysia, patrzę na swoje ręce; w zaciśniętych aż do krwi paznokciach strzęp, wydarty strzęp płaszcza. Ludzie zbliżają się ze wszystkich stron jak lwy w Colosseum. Mamroczą dziesiątki ust, dziesiątki rąk wykonują kółka. Psy Pawłowa znalazły kość. Znalazły kość i usłyszały dzwonek. Dziesiątki gruczołów wydziela ślinę, ręce posłuszne stereotypom wykonują kółka: wariat, kółko, wariat, ma chysia, czego tak leciał, kółko ma chysia, fioła, facet ma chysia, kółko. Poczekajcie psie chuje, poczekajcie jeszcze wam pokażę. Jeszcze uderzycie dupą o sufit! Wstaję, otrzepuję płaszczy i przepychając się przez sztachety spojrzeń idę w kierunku centrum. Idą za mną ale coraz luźniej, coraz ich mniej, otaczają mnie rzednącą poduchą szeptów: wariat, teraz znowu będzie rozrabiał, e panie ładny gdzie pan idzie, cicho, wariat, zaczynają cichnąć przechodzą na zwykły cowieczorny bełkot zastępujący im mowę, konstruowanie nic nie znaczących określeń, nieważnych zdań, wymiana grzeczności, uwagi o pogodzie, ceny towarów, kto za kogo wyszedł, kto z kim śpi, kupiłam sobie taki materiał, popatrz jaki mam szalik, po ile są teraz buciki na cienkich spodach, popatrz co za śmieszne pudełko, gdzie, tu na tej wystawie, o już są w handlu bezszmerowe aparaty, wstąpmy na chwilę, wstąp do mnie na chwilę, gdzie idziesz, co grają w kinie, zrobiła się na rudo, moim zdaniem lepiej jej było na blond, ale gdzie, mówię ci, nieustanny bełkot oblepiający wszystko jak plazma, obśliniając lepłą flegmą całe miasto, wszystkie domy i ulice. Inaczej nie potrafią, są tylko psami Pawłowa, im **naprawdę** wydaje się, że rozmawiają. Oni są przekonani, że wymieniają myśli. Są zbyt głupi by sądzić inaczej. Patrzą niewidzącymi oczami ślepców, dotykają wszystkiego po wierzchu, przerzucają

rzeczywistość jak dziecko piasek, robią z niej babki, robię z babek miasta, wywracają babki i miasta, siadają, gładzą, wypijają pół czarnej, gładzą, spółkują, gładzą, śpią, jedzą, wydalają, pracują, odpoczywają, bełkocą. Czuję jak rośnie we mnie nienawiść. Bilardzista w mej głowie skacze jak pijany pawian, czepia się prętów klatki, szczyrzy kły, warczy, bije ogonem o podłogę, wydając dzikie wrzaski rzuca się wokół klatki błyskając czerwoną dupą. Skurwysyny! Jesteście zbyt głupi by zauważyć tego pawiana! Zdaje się wam tylko że widzicie, ale nie widzicie nic. Dotykacie wszystkiego swym zaspanym głupawym spojrzeniem z tak absolutną bezradnością z tak niesłychaną indolencją, że wprost wierzyć się nie chce w to, że możecie żyć nie widząc niczego, zadowolając się wyłącznie patrzeniem. Wypchane krawieckie manekiny! Tłuste dupy w elanowych workach! Strupieszcząłę mumie w szklanych trumnach binokli! Gdybym był posiadaczem bomby wodorowej nie zastanawiałbym się ani dziesięciu sekund przed spuszczeniem jej na wasze wypchane sianem głowy! Powywracam was na ziemię skopię, stłamszę, poprzekłuwam wam te naćpane kiełbasą brzuchy, porozbijam łby aż powylatuje siano, dam je do zjedzenia krowom, a mięsem waszym nakarmię parszywe psy! Idę nie widząc nic przed siebie, mruczę, mamrocę pod nosem, wpadam na przechodniów, potykam się o wózki z dziećmi. Pawian w głowie uspokaja się powoli, siada na czerwonym tyłku, zaczyna szukać pcheł. Gdzie jest teraz mój bilardzista? Pozostał mi w ręce tylko kawałek jego płaszcz, skrawek szczęścia, fotografia absolutu. Gdzie jesteś bilardzisto? Czy zaraz obok ukryty w postaci przechodnia, czy na peryferiach miasta wśród dymiących śmietników, może uczepiony czarnego worka nocy oczekujesz momentu aby mi skoczyć na głowę? A może jesteś tu, czekasz w tym szalecie? Schodzę po schodach w dół, dym papierosów, szum wody, smród moczu i środka dezynfekcyjnego. Muszę się oczyścić, muszę się gdzieś oczyścić. Wchodzę do kabiny zamykam drzwi na zasuwkę. Nareszcie jestem sam. Odpływ morza, uspokojenie

bałwanów. Nie patrzą na mnie oczy, nie bombardują mnie słowa, nie widać rąk, kół na czole. Białe pokryte lakierem ściany. Napisy. Przybytek wolności słowa. Rysunki. Dziwne rysunki. Robią je Oni, ci którzy patrzą i nie widzą. Ci którzy naprzód wiedzą, potem patrzą, a patrząc spostrzegają to tylko co już przedtem wiedzieli. Rysunki o charakterze naiwnego instruktazu seksualnego. Napisy, patrz w prawo, patrzę w prawo, napis; patrz w lewo, trzymając opuszczone spodnie i kalesony w ręku obracam się w lewo, patrz do tyłu, to zaczyna być intrygujące, już znam wszystkie trzy ściany, może na tylnej ścianie pod zbiorniczkiem ukrywa się bilardzista, może on daje mi te znaki, może zwisa z góry jak nietoperz, może pod postacią rysunku rozpląszczył się na ścianie. Plącząc się w opuszczonych spodniach i kalesonach obracam się do tyłu, moje oczy gorączkowo przeszukiwać zaczynają ścianę, podstawę zbiornika, nie widzę niczego, dopiero teraz rzuca mi się w oczy napis: sraj spokojnie nie wierć się. To znowu Oni, kretyńska banda nic nie wiedzą, nic nie rozumiejąca. Przychodzą tu przecież wypróżniać swoje spasiono brzuchy. Robią głupie dowcipy, jak mogłem przypuścić, że znajdę tu bilardzistę! Może umieścili ten napis umyślnie, może wiedzieli że tu wejść. Chcieli ze mnie zadrwić. Słucham, nadśłuchuję czy zza ścianek drewnianych nie doleczą jakieś odgłosy. Szum wody, wszechogarniający szum wody i smród wypędzają mnie z kabiny. Jestem już na ulicy. Gdzie może być bilardzista którego szukam. Wydaje mi się, że jestem od niego coraz dalej. Na początku wieczoru, w pierwszym hoteliku byłem pewien, że już za moment go spotkam, nie widziałem trudności, czułem jego obecność, zdawałem sobie potem sprawę, że znajduję się w drugim pokoju, tańczy na bilardowym stole, jak dziecinny balon skacze wielokrotnie pod sufit, jak kłęb cygarowego dymu przenika przez przedmioty, rozwiewa się bez śladu. Czy obecnie w mroku nocy znajduje się on również o parę kroków ode mnie, podąża, siedząc okrakiem na plecach spieszącego się przechodnia, ukrywa się pod kapeluszem, buszuje po kieszeniach. Nie mogę

nigdzie wyczuć jego śladu. Jednostajny szmer samochodów, błyski, zielonego i czerwonego światła na skrzyżowaniach, monotonna, jednostajna, permanentna muzyka neonowych reklam: błysk, dwa błyski, glissando i spokój, błysk, dwa błyski, glissando i spokój, błysk, dwa błyski, wyroby dziewiarskie, błysk, wyroby dziewiarskie, błysk, wyroby, polonia, strzała, polonia, strzała, polonia, hotel bristol, hotel bristol, hotel bristol, wchodzę na trzy schodki prowadzące do wejścia. Teraz trzeba pchnąć drzwi obrotowe i wsunąć się do wnętrza wykrzywionego za szybą jak prowincjonalny gabinet śmiechu. Nigdy nie potrafię przejść porządnie przez drzwi obrotowe, nie zaczepiając nogą za pędzącą z tyłu futrynę, nie rozbijając twarzy o zatrzymującą się nagle przednią ścianę, nie wypadając jak z katapulty na sam środek otwartego ze zdziwienia hallu, nie krążąc jak ostatni idiota przez parę minut dopóki silniejsze szarpnięcie nie wyrzuci mnie z powrotem na ulicę. Drzwi obrotowe to także ich wynalazek do walki z poszukującymi istoty rzeczy. Pragmatyczna maszyna do iluzorycznego przyspieszenia tego co już i tak zbyt szybkie i zbyt głupie, by można się było nad nim zastanawiać. Teraz trzeba się przemóc i pchnąć drzwi obrotowe, które wirują nie zatrzymując się ani na moment, mimo że mijają je stosunkowo niewielu interesantów. Co krótki interwał przed moim nosem przelatuje mosiężna klamka, właściwie nie klamka, poręcz od uciekającego wagonu, wagonu który kręci się jak pies trzymający zębami własny ogon. Nie sposób stojąc niepewnie na ostatnim z trzech schodków wskakiwać na stopień pędzącego wagonu, wagonu którym ucieka mój bilardzista. Gdyby to był wagon ostatni ruszył bym za nim w pościg, rzucił się całym wysiłkiem do przodu i schwyciwszy mosiężną poręcz podciągnął do wnętrza. Teraz jednak pędzi wagon za wagonem, wagon za wagonem, migają poręcze, okna wagonów odbijają neony ulicy, dziew, błysk, dziew, błysk, dziew, błysk, dziew, błysk, dziew, błysk, przegląda zza migających szyb wnętrza docelowej stacji, zniekształcony pełgający jak płomień kantorek portiera, plecy

interesantów z których każdy może być bilardzistą, moim bilardzistą. Podczas gdy ja stoję tu bez końca bojąc się wskoczyć do pędzącego wagonu w obawie by nie zmiażdżyły mnie wagony następne, bilardzista bierze swoje kije i kule i poprzedzany przez boya niosącego walizki wstępuje powoli niesłychanie powoli jak wschodzący nad światem księżyc na wyższe coraz wyższe kondygnacje, przebija dach, stąpa po powietrznych schodach wyobraźni, coraz wyżej i wyżej coraz mniejszy i jednocześnie coraz większy, oświetlony łuną oszalałych gwiazd, mosiężnych komet, szklannych meteorów, jawi się ogromny jak kolos z ryciny Grandvillea, zakryty częściowo pyłem mlecznej drogi, lśniący obcym światłem niewidzialnych galaktyk, daleki, wspaniały, niedosiężny, wyciskający z oczu łzy zachwytu. Jak mały i odległy jestem tu na ostatnim stopniu rachitycznych schodków, które są teraz peronem wszechświata, jak tchórzliwie małoduszny gdy boję się wskoczyć do pędzącego pociągu, który zawieźć mnie może wzdłuż całej przestrzeni aż na krawędź wielkiego zegara ostateczności. Chwytam za umykającą poręcz. Błysk neonu, dziew, błysk, zniekształcona twarz portiera, szmer wnętrza hallu, dziew, błysk, ciemność, otwarte oczy portiera, dziew, błysk, ciemność, portier podnosi się, dziew, błysk, ciemność, uczepony do poręczy usiłuję wskoczyć na stopień umykającego wagonu, jestem już pędem wagonu, jestem pędem wagonu, jednak moje ciało związane jest z peronem, z jego statecznością i bezruchem, nie mogę dlatego swobodnie opuścić wagonu, miga mi przed rozwartymi oczyma na przemian to jeden to drugi peron, wpadający i wypadający interesanci których widzę w sąsiednim korytarzu wagonu, szmer hallu, szum ulicy, gestykulacja portiera, powykręcane w szybach litery neonów. Nagłe szarpnięcie i jak pocisk wyrzucony z dawidowej procy, niesiony siłą odśrodkową po stycznej do obwodu łapiącego swój ogon psa, pędzę w poprzek hallu, wpadam na kiosk z gazetami, odbijam się od niego, uderzam o filar, potykam na dywanie, wywróciwszy kozła roztrzaskuje sobie nos o

przyśrubowane do ściany lustro, które zatrzymuje i wygasza mój pęd. Już leżą w moją stronę!

W odbiciu lustra widzę jak leżą w moją stronę, widzę mój krwawiący nos i ich ręce wykonujące szybkie kółka, wariat, ma fioła, fioła, kto widział ktoś podobnego, fioła, wariat, nadchodzę półkolem, ci sami od strony lustra, ci sami od strony hallu, robią koła na głowie, bełkocą. Nagle za nimi dostrzegam plecy zmierzającego szybko do drzwi mężczyzny. To nie jest pies Pawłowa! W przeciwnym wypadku dlaczego by zrezygnował z kości mimo iż zabrzmiały wszystkie możliwe dzwonki. To na pewno on. To bilardzista! Ze skowytem, który wymyka mi się spoza zaciśniętych warg ruszam natychmiast jego śladem roztrącając szpaler szeptów i spojrzeń. Już wpadł w drzwi pociągu! Ostatnim nadludzkim zrywem zdesperowanej, doprowadzonej do ostateczności energii, osiągam ręką następne drzwi, jestem w tym samym wagonie dziew, błysk, ciemność, rozgestykulowane trybuny hallu, dziew, błysk, nie wypadł, jedzenie razem ze mną, pędzę korytarzem wagonu i przez szybę widzę w drugim korytarzu jego zbielełą od trwogi twarz, na peronie hallu dziesiątki rąk wyciągają się w kierunku poręczy wagonu, na zewnętrznym peronie przelatują z niezwykłą szybkością ogłupiałe, pozawijane szalikami, wypchane sianem głowy, dziew, błysk, ciemność, wariat, idiota, ludzi pozabija. Ciemność co się dzieje, dziew, błysk, wariat dziew, błysk, mam cię nareszcie, jesteś w drugim przedziale, jedziemy razem, byłeś najpierw tak blisko, potem tak daleko, teraz jesteś tuż obok że możemy się jeszcze zatrzymać, nie możemy jeszcze wysiąść, ruch i pęd pociągu oszalałe wirowanie wagonu oddala nas od świata sianogłowych, już nie widać ich twarzy, czy oni zresztą kiedykolwiek mieli twarze, nie mieli twarzy tylko białe jak dupa czoła na których rysowali kółka, oczy tępe jak kozie bobki, wargi rozlatane jak świńskie genitalia. Jeszcze szybciej, jeszcze szybciej, oszklona, sypiąca iskry neonów karuzela, gigantyczna proca, która wypuści nas jak dwie identyczne olbrzymie kule bilardowe w dwu

przeciwnych kierunkach. Jedna przebija obskurny hotelik, zdmuchnie jego parter, rozerwie, roztrzaska na sto tysięcy kawałeczków stado psów Pawłowa, wyrzuci je na niesłychana wysokość, tak że jeszcze za rok spadać będą na ziemię poszczególne ręce, nogi, okulary i pomknie dalej po stycznej zmiatając wszystko na swojej drodze, druga wystrzelona prosto w okrągłe ze zdziwienia manekiny krawieckie, zetnie je z nóg, porwie za sobą, rozpląszczy jak makabryczne obrazy na murach kamienic po przeciwległej stronie ulicy, przewierci sobą wszystkie budynki miasta i wszystkie budynki innych miast, obleci dookoła połowę globu ziemskiego aż do zderzenia się z pierwszą kulą, straszliwego zderzenia, które niszcząc i paląc wszystko wokół zjednoczy ostatecznie obie kule, tworząc nową niepodzielną, integralną całość. Pęd wagonu rozmazuje widok za oknem, już tylko błyski znaczą ilość obrotów, ciemno, jasno, ciemno, jasno, pojemnik na kule bilardowe, wyrzutnia rakiet, ciemność zlewa się z jasnością w jedną mleczno szarą poświatę w której pulsacje światła elektrycznego wprowadzają swój fałszywy ruch, nieistniejące wirowanie, raz w lewo, raz w prawo, coraz wolniej, coraz wolniej, postój i do tyłu, coraz szybciej, coraz szybciej, aż do zamazania ruchu i znowu powrót do przodu, coraz wolniej, coraz wolniej, zwariowany stroboskop Gargantui, zbzikowana centryfuga Minotaura to już nie jest wirowanie, to bezruch w olbrzymiej szklance brudnego mleka, w której jawią się tu i tam urojone białe postacie, gipsowe głowy, lakierowane ściany, płócienne prześcieradła, kapanie wody, szepty, błyski okularów. Gdzie jestem. Poprzez nieruchome wirowanie, opalizujące mleko zapomnianego pędu, rzucam pytanie; gdzie jestem, gdzie jest bilardzista? Co się stało z bilardzistą? Leżę na łóżku, leżę na białym szpitalnym łóżku. Wirujący wagon dowiózł mnie do szpitala. Teraz muszę spytać co stało się z bilardzistą. Białe kitle lekko jakgdyby niesione niewyczuwalnym wiatrem przelatują obok mego łóżka anonimowe okulary błyskają w promieniach świetlówek. Pytam gdzie jest bilardzista, gdzie daliście bilardzistę,

spokojnie, spokojnie, ja pytam o bilardzistę, proszę się nie ruszać, spokojnie, ja pytam, tak zaraz będę rysować koła, tylko czekać jak zaczną rysować koła, kapanie wody, przytłumiony dzwonek na korytarzu, tlen pod dziewiątkę, gdzie jest bilardzista, siostrze basen, muszę stąd wyjść, oni nie są zdolni schwytać mego bilardzisty, na pewno uciekł, ależ skąd, nie potrzebował uciekać, po prostu zmienił wielkość, zmałał im w dłoniach do rozmiarów pyłku, urósł im w oczach do rozmiarów góry, spłaszczył się jak cień, wsunął między kartki książek, rozciągnął się jak nitka wśliznął do karniszy firanek, wfrunął do rur wodociągowych, dudni teraz w ściekach, kapie po jednej kropelce, przecieka między palcami, wlewa się do gardeł, wyparuje skórą. Nie potrzebował uciekać! Nie potrafię go i tak dosięgnąć. Musieliby umieć chwytać własny cień, zawrócić bieg własnego głosu, owinać się dookoła własnym spojrzeniem a jego koniec schować do kieszeni tak aby nie odbijało się w lustrze. Są na to za głupi! Maja przecież wypchane sianem głowy. Wstaję cicho z łóżka. Muszę odnaleźć bilardzistę. Wiem, że ci durnie nie wypuszczą mnie dobrowolnie. Na całe szczęście oni nie wiedzą że jestem przygotowany. Muszę walczyć i będę walczył. Gdy lekarz dyżurny albo pielęgniarka wejdzie będę walczył. Białe lakierowane ściany. Czy oni w ogóle będą wiedzieć, że walczę o swego bilardzistę? Może w ogóle nie zdają sobie sprawy z tego że go szukam. Że nie wiem jak wygląda. Że jestem już niesłychanie zmęczony, straszliwie zmęczony, ale nie spocznę zanim go nie odnajdę. Teraz gdy ucieknę ze szpitala pójdę wzdłuż rozwrzeszczanych neonami ulic, przedzierając się przez kolorowe konfetti deszczu, będę znowu zaglądał w oczy przechodniom, wstępował co noc do wszystkich knajp, do miejskich szaletów, do plugawych hotelików prowadzących swój spleśniały żywot na rogach zapomnianych zaułków. Muszę go przecież gdzieś znaleźć. Nie mogę dopuścić by rozwiął się za zasłoną mgły, utonął w kałamarnicy nocy, na wieki zaginiony, niezidentyfikowany, zwłoki we wspólnym grobie, anonimowy liść w jesiennym ognisku. Białe

lakierowane ściany. Kiedy nareszcie wejdzie tutaj lekarz dyżurny? Może samemu wyjść na korytarz? Jeśli samemu wyjdę na korytarz mogę zostać zaskoczony przez lekarza dyżurnego, jeśli natomiast wejdzie on tu, to zostanie zaskoczony przeze mnie. A siostry, przedtem były tu siostry! Ile sióstr znajduje się w szpitalu? A może jest więcej niż jeden lekarz dyżurny? Lepiej wyjść na korytarz! Drzwi się otwierają! Biała gipsowa twarz! Jest zaskoczony jak przewidywałem, trwa to ułamek sekundy. Zaskoczenie, które trwa ułamek sekundy poczym marmurowy blat stolika, którym walę go w głowę zakrywa mi na moment tą twarz. Dlaczego ta twarz wydała mi się niezwykła? Jakaś inna. Czy to był lekarz dyżurny, czy to był w jego przebraniu ktoś o kim nawet boję się w tej chwili pomyśleć. Bilardzista! Patrzą na podłogę. Biała jak papier twarz, oczy jak kule bilardowe, dwie kule bilardowe, trzecia kula wypełnia usta włacza do gardła język. Bilardzista jest niemy, nieruchomy tylko jego oczy jarzą się wewnętrznym, zamierającym wirowaniem, głębokie jak centrum przestrzeni, oczy pełne gwiazd, spłoszonych ptaków, roziskrzonych ptaków, roziskrzonych neonów, rozjaśnione niewidocznym światłem, oczy wibrujące odpływającymi dźwiękami, wewnątrz których widzę to: biegają w koło dwie małe, groteskowe, przerażone, może oszalałe postacie, coraz szybciej, coraz ciszej, coraz mniejsze, zataczają kręgi jak komary wokół lampy, jak elektrony wokół jądra atomu, jak spalające się iskry odjeżdżającego pociągu. Wiem że to już jest koniec, że teraz jestem wolny. Jest koniec nocy.

25 październik 1963